

Włóż zatem złoty kapelusz, jeśli to ją wzruszy;
Jak umiesz skakać wysoko, to podskocz dla niej też,
Aż krzyknie „luby, co skaczesz w złotym kapeluszu,
Ja ciebie muszę mieć!”

Thomas Parke D’Invilliers¹

- 1 Motto jest autorstwa Fitzgeralda; podpisany pod tym czterowierszem D’Invilliers to postać z pierwszej powieści pisarza, *Z tej strony raju* (1920), wzorowana na kolesie Fitzgeralda z Princeton, poecie Johnie Peale’u Bishopie. Czterowiersz kryje też w sobie po części dwa wcześniejsze tytuły *Tego wielkiego Gatsby’ego*: „Gatsby w złotym kapeluszu” i „Wysoko skaczący kochanek” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Rozdział 1

Za moich młodszych lat, gdy łatwiej było mnie zranić, ojciec udzielił mi rady, nad którą od tamtej pory wciąż często medytuję.

– Ilekroć nachodzi cię chęć, żeby się o kimś niepochlebnie wyrazić, bądź łaskaw zwrócić uwagę, że nie wszyscy na świecie zaczynali z tak uprzywilejowanych pozycji jak ty.

Nie dodał nic więcej, ale ponieważ pomimo powściągliwości komunikacyjnej zawsze rozumieliśmy się wyjątkowo dobrze, pojąłem, że miał na myśli jeszcze coś znacznie więcej. W rezultacie jestem skłonny powstrzymywać się od wydawania jakichkolwiek sądów, a zwyczaj ten sprawia, że często otwierają się przede mną interesujący ludzie, choć czasem czyni też ze mnie ofiarę wcale licznych piekielnych nudziarzy. Taką wstrzemięźliwość jak moja umysł anormalny wykrywa szybko u normalnego człowieka, chce bowiem do niej przywrzeć, i dlatego na uniwersytecie, kiedy pomyleni nieznajomi studenci zwierzali mi się ze swoich sekretnych kłopotów, oskarżano mnie o to, że manipuluję ludźmi niczym polityk. Większości tych zwierzeń nie życzyłem sobie ani trochę – niejednokrotnie symulowałem, że śpię, jestem zaaferowany czymś innym albo przejawiam nieżyczliwą niefrasobliwość, jeśli tylko jakiś nieomylny znak uświadamiał mi, że takie czy inne intymne wyznanie drży już na horyzoncie – intymne wyznania bowiem, a w każdym razie formy, w jakie je przystrajają młodzi ludzie, przyjmują zazwyczaj postać plagiatów, a przy tym zostają oszpecone jawnymi przemilczeniami. Powstrzymywanie się od wydawania sądów opiera się na nieskończonej nadziei. Do dzisiaj trochę się boję, że czegoś nie zauważę, jeżeli nie będę pamiętał, że – jak snobistycznie sugerował mój ojciec, a ja snobistycznie za nim powtarzam – elementarnego poczucia przyzwoitości nie rozdaje się ludziom po równo w momencie narodzin.

Pochwaliwszy się w ten sposób, że jestem wyrozumiały, muszę przyznać, że nie bezgranicznie. Fundamentami ludzkiego postępowania mogą być twarda skała albo grząskie bagno, ale jeżeli ktoś przekroczy pewną granicę, to, na czym jest ufundowane jego postępowanie, przestaje mnie obchodzić. Kiedy jesienią wróciłem do domu ze Wschodniego Wybrzeża, uznałem, że chcę widzieć cały świat w mundurze i żeby już na zawsze w pewnym sensie stał moralnie na baczność; nie miałem więcej ochoty na te nieprzyzwoite wycieczki, umożliwiające krótki, uprzywilejowany wgląd w głąb ludzkiego serca. Ta moja niechęć nie obejmowała jedynie Gatsby'ego, człowieka, używającego nazwiska tytułowi tej książki – Gatsby'ego, który symbolizował wszystko, co darzę niewzruszoną pogardą. Jeżeli osobowość jest nieprzerwaną serią fortunnych gestów, to w Gatsbym było coś przepięknego, jakieś wybujałe wyczulenie na niesione przez życie obietnice – i z tej przyczyny przypominał owe skomplikowane urządzenia mogące zarejestrować początki odległego o dziesięć tysięcy mil trzęsienia ziemi. Zdolność Gatsby'ego do reagowania na bodźce zewnętrzne nie miała jednak nic wspólnego ze sflaczałą wrażliwością, którą uszlachetniamy, nazywając ją „usposobieniem artystycznym” – był to nadzwyczajny dar nadziei, romantyczna żarliwość, jakiej nigdy nie znalazłem u nikogo innego i jakiej najprawdopodobniej nigdy już nie znajdę. Nie... Gatsby mimo wszystko okazał się w porządku; tym, co na pewien czas zgasiło we mnie zainteresowanie poronionym żalem i zdyszanyymi męskimi uniesieniami tego człowieka, było pragnienie, które go zżerało, oraz plugawa forsa ciągnąca się za jego marzeniami jak kurz albo śmieci.

Moja prominentna, zamożna rodzina mieszkała od trzech pokoleń w pewnym mieście na Środkowym Zachodzie. Carrawayowie to coś w rodzaju klanu, a legenda rodzinna głosi,

że wywodzimy się od książąt Buccleuch¹, choć tak naprawdę założycielem mojej gałęzi rodu był brat mojego dziadka, który przyjechał tu w pięćdziesiątym pierwszym, opłacił ochotnika, aby zastąpił go w wojnie secesyjnej, po czym otworzył hurtownię artykułów żelaznych prowadzoną po dziś dzień przez mojego ojca.

Stryjecznego dziadka nigdy nie widziałem, ale rzekomo jestem do niego podobny – zwłaszcza sądząc po wiszącym w ojcowskim biurze portrecie, na którym wygląda trochę na bezkompromisowego cynika. Skończyłem studia w New Haven² w roku 1915, zaledwie ćwierć wieku po ojcu, a chwilę później wziąłem udział w spóźnionej teutońskiej wędrówce ludów znanej w Ameryce jako Wielka Wojna. Bawiłem się tak dobrze w czasie kontrnatarcia, że po powrocie nigdzie nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Środkowy Zachód przestał już być przyjaznym pępkiem świata, wydawał mi się raczej nędznym krańcem kosmosu – postanowiłem więc wyjechać na Wschodnie Wybrzeże i nauczyć się handlu obligacjami. Zajmowali się nim wszyscy moi znajomi, uznałem więc, że zapewni utrzymanie jeszcze chociaż jednemu nieżonatemu mężczyźnie. Omawiały tę kwestię wszystkie moje ciotki, omawiali wujowie, jak gdyby wybierali dla mnie gimnazjum, i w końcu wszyscy z bardzo poważnymi i niepewnymi minami powiedzieli: „No... do-obraze”. Ojciec zgodził się wspierać mnie finansowo przez jeden rok i wiosną dwudziestego drugiego – choć kilka razy z różnych przyczyn musiałem odkładać podróż – przyjechałem do Nowego Jorku, jak mi się wtedy wydawało, na stałe.

Najlepiej byłoby wynająć mieszkanie w mieście, ale nadeszło już lato, a ja dopiero co przybyłem z krainy rozległych przydomowych ogrodów i życzliwych drzew, więc kiedy pewien mój młody kolega z pracy zaproponował, żebyśmy wspólnie

- 1 Książę Buccleuch – szkocki tytuł stworzony dla Jamesa Scotta, księcia Monmouth (1649–1685), który ogłosił się królem Anglii i został później ścięty za zdradę stanu.
- 2 New Haven oznacza w *Tym wielkim Gatsbym* Uniwersytet Yale.

wynajęli dom w jakiejś podmiejskiej dziurze, uznałem, że to świetny pomysł. Kolega znalazł dom, sfatygowany tandetny bungalow za osiem dych miesięcznie, jednak w ostatniej chwili kierownictwo firmy przeniosło mojego niedosłego współlokatora do Waszyngtonu, zamieszkałem więc na przedmieściach sam. Miałem psa – to znaczy przez kilka dni, dopóki nie uciekł – starego dodge’a i pochodzącą z Finlandii służącą, która słała mi łóżko, przygotowywała śniadanie i pomrukiwała do siebie jakieś fińskie mądrości nad kuchenką elektryczną.

Czułem się samotny przez dzień albo dwa, ale pewnego ranka zatrzymał mnie na drodze człowiek, który najwyraźniej przyjechał tutaj jeszcze później niż ja.

– Jak dostać się stąd do West Egg?³ – zapytał bezradnie.

Wy tłumaczyłem mu. I idąc dalej, nie czułem się więcej samotny. Stałem się przewodnikiem, pionierem, pierwszym osadnikiem. Ten człowiek mimo woli obdarzył mnie znamieną dla tej okolicy swobodą.

A zatem gdy przyszło słońce, a wielkie pąki liści eksplodowały na drzewach tak szybko, jak rosną różne rzeczy w odtwarzanych w przyspieszonym tempie filmach, wróciło do mnie znajome przekonanie, że razem z latem zaczyna się od nowa także życie.

Było na przykład mnóstwo lektur do przeczytania, a z tegoż świeżego, dechodajnego powietrza mogłem wycisnąć dla siebie dużo pięknego zdrowia. Kupiłem kilkanaście książek o bankowości, kredytach i papierach wartościowych – stanęły na mojej półce oprawne w czerwień i złoto niczym nowy pieniądz prosto z mennicy, obiecując, że ujawnią mi swoje połyskliwe tajemnice, znane wcześniej jedynie Midasowi, Morganowi i Mecenasowi. Żywiłem też poważne zamiary przeczytania

3 Pod tą nazwą kryje się miasteczko Great Neck na Long Island, gdzie rozgrywa się akcja powieści. Z kolei East Egg to Sands Point, miejscowość leżąca po drugiej stronie Manhasset Bay. „Egg” po angielsku to oczywiście „jajko”.

wielu innych dzieł. Na studiach dość chętnie zajmowałem się literaturą – któregoś roku napisałem szereg bardzo podniosłych i naiwnych wstępniaków dla „Yale News” – i teraz chciałem powrócić do tego rodzaju zajęć, by znowu stać się najbardziej ograniczonym intelektualnie ze wszystkich specjalistów, czyli człowiekiem „ogólnie wykształconym”. Nie jest to wyłącznie epigramat – życie widać przecież daleko lepiej, jeśli się je ogląda tylko z jednego okna.

Zrzącenie losu sprawiło, że wynająłem dom w okolicy zamieszkaanej przez jedną z najdziwniejszych społeczności Ameryki Północnej. Stał na tej leżącej na wschód od Nowego Jorku wysmukłej, rozpustnej wyspie, na której obok innych ciekawostek przyrodniczych można znaleźć również dwie niezwykle formacje ziemne. Oto w odległości dwudziestu mil od miasta w najbardziej ucywilizowany słony akwen na półkuli zachodniej – w wielkie mokre obejście cieśniny Long Island – wcinają się dwa olbrzymie jaja, identyczne w kształcie i przedzielone tylko czymś, co kurtuazyjnie można by nazwać zatoką. Formacje te nie przybierają postaci idealnie owalnej – podstawy mają spłaszczone niczym jajko Kolumba – lecz ich fizyczne podobieństwo z pewnością stanowi źródło nieustannego zdziwienia przelatujących wyżej mew. Dla stworzeń bezskrzydłych natomiast zjawiskiem bardziej zastanawiającym są różnice dzielące West i East Egg pod każdym innym względem niż ich wielkość i forma.

Mieszkałem w West Egg, czyli... – no, w mniej modnym z tych dwóch miasteczek, choć jest to wyjątkowo powierzchowne określenie dziwaczego i więcej niż nieco niesamowitego kontrastu między nimi. Mój dom stał na samym krańcu jajka, zaledwie pięćdziesiąt jardów od brzegu cieśniny, wepchnięty pomiędzy dwie olbrzymie wille wynajmowane na lato, pierwsza za dwanaście, druga za piętnaście tysięcy dolarów. Willa po prawej stronie była wedle wszelkich standardów kolosalnym gmaszyskiem – kopią jakiegoś normandzkiego Hôtel de Ville

z nowiuteńką boczną wieżą pod rzadkim zarostem bluszczu, z marmurowym basenem i ponad czterdziestoakrowym ogrodem. Okazało się później, że to posiadłość Gatsby'ego. A raczej, jako że wtedy pana Gatsby'ego jeszcze nie znałem, posiadłość zamieszkała przez jegomościa noszącego to nazwisko. Mój dom był szkaradzieństwem, lecz szkaradzieństwem nieznacznym, o którym zapomniano, miałem więc widok na morze oraz częściowo na ogród sąsiada, a także cieszyłem się krzepiącą bliskością milionerów – i wszystko to za jedyne osiemdziesiąt dolarów miesięcznie.

Na drugim brzegu pasa wody kurtuazyjnie nazywanego zatoką wznosiły się białe pałace modnego East Egg, a opowieść o wydarzeniach tamtego lata zaczyna się właściwie wieczorem w dniu, gdy pojechałem na kolację do mieszkających w tym miasteczku Toma Buchanana i jego żony. Daisy była moją daleką kuzynką w bocznej linii, a Toma znałem ze studiów. Zaraz po wojnie gościłem u nich w Chicago przez dwa dni.

Mąż Daisy – mający na koncie liczne sukcesy o charakterze sportowym (należał między innymi do najsilniejszych końcówych w dziejach futbolu uniwersyteckiego w New Haven) – był w pewnym sensie postacią znaną w całym kraju, jednym z tych mężczyzn, którzy w wieku dwudziestu jeden lat osiągnęli tak przeraźliwie ograniczoną doskonałość, że wszystko, co zdarza się później, pachnie rozczarowaniem. Pochodził z niezwykle zamożnej rodziny – nawet na uniwersytecie wypominano mu, że się nie liczy z pieniędzmi – porzucił jednak Chicago i przyjechał na Wschodnie Wybrzeże z fasonem, który naprawdę zapierał ludziom dech w piersiach; na przykład sprowadził z Lake Forest całą stadninę kuców do gry w polo. Trudno było sobie wyobrazić, że młodego człowieka z mojego pokolenia jest stać na coś takiego.

Dlaczego Tom i Daisy przyjechali na Wschodnie Wybrzeże, nie wiem. Wcześniej bez żadnego szczególnego powodu spędzili rok we Francji, a potem niespokojnie włóczyli się wszędzie tam, gdzie ludzie grywali w polo i mogli wspólnie cieszyć się

swoim bogactwem. Daisy powiedziała mi przez telefon, że przeprowadziła się z mężem do East Egg na stałe, ale nie dałem jej wiary; nie wiedziałem, co się dzieje w sercu mojej kuzynki, wyczuwałem jednak, że Tom będzie dalej krążył po świecie, bez końca i z niejakim smutkiem poszukując czegoś na kształt dramatycznej burzliwości któregoś z bezpowrotnie już minionych meczów futbolowych.

Tak więc pewnego ciepłego i wietrznego dnia pojechałem samochodem do East Egg na spotkanie z dwojgiem starych znajomych, których jednak prawie wcale nie znałem. Ich dom okazał się jeszcze wykwintniejszy, niż sądziłem – była to wychodząca na zatokę wesoła czerwono-biała rezydencja w georgiańskim stylu kolonialnym. Ogrodowy trawnik brał początek na granicy plaży i biegł ku drzwiom frontowym przez ćwierć mili, przeskakując po drodze zegary słoneczne, ceglane chodniki i rozpłomienione klomby – a wreszcie dotarłszy do domu, jakby z rozpędu wspinał się na jego boczną ścianę soczystym dzikim winem. Fasadę przecinał szereg oszklonych drzwi, lśniących refleksami złota i szeroko otwartych na ciepłe wietrzne popołudnie, na ganku zaś stał na szeroko rozstawionych nogach Tom Buchanan w stroju do konnej jazdy.

Zmienił się od czasów New Haven. Teraz był krzepkim trzydziestolatkiem o włosach koloru słomy, dosyć ostro zarysowanych ustach i wyniosłej postawie. W jego twarzy dominowało dwoje aroganckich błyszczących oczu, nadając mu taki wygląd, jak gdyby bez przerwy napastliwie pochylał się do przodu. Nawet zniewieściały styl jeździeckiego stroju nie mógł zamaskować potężnej siły cielska Buchanana – wydawało się, że lśniące wysokie cholewki jego butów są rozepchnięte pod kolanem tak, że aż napinają się sznurowadła, a kiedy poruszał ramieniem, dało się zauważyć, jak pod cienką kurtką gra wielki kłębek mięśni. Było to ciało zdolne do gigantycznego wysiłku – ciało okrutne.

Aurę swarliwości, którą emanował Tom, wzmacniał również jego głos – chrapliwy, gburowaty tenor. Pobrzmiwała w nim

nuta protekcjonalnej pogardy nawet wobec ludzi, darzonych przez niego sympatią – a w New Haven studiowali też faceci, którzy serdecznie go nienawidzili.

„Więc niech ci się nie zdaje – zdawał się mówić – że moje zdanie w tej kwestii zamyka sprawę wyłącznie dlatego, że jestem silniejszy i bardziej męski od ciebie”.

Na ostatnim roku należeliśmy do tej samej organizacji studenckiej i chociaż nigdy nie byliśmy z sobą zbyt blisko, zawsze miałem wrażenie, że Tom mnie akceptuje i z jakimś kosztownym, wyzywającym i specyficznym dla niego smutkiem chce, żebym go polubił.

Rozmawialiśmy przez kilka minut na słonecznym ganku.

– Mam tu przyjemny domek – powiedział, niespokojnie strzelając wokół oczami.

Obrócił mnie jedną ręką, a potem szeroką dłońią wskazał rozciągający się przed nami widok, obejmując tym gestem położony w czymś w rodzaju dolinki ogród w stylu włoskim, pół akra gęstych, intensywnie pachnących róż, a także podskakującą na przybrzeżnych falach motorówkę z zadartym dziobem.

– Należał wcześniej do Demaine’a, tego nafciarza. – Obrócił mnie ponownie w drugą stronę, grzecznie, ale gwałtownie. – Chodźmy do środka.

Wysokim korytarzem weszliśmy do jasnego, różanego pomieszczenia, ograniczonego w ramach domu dwójgiem kruchych oszklonych drzwi z jednej i drugiej strony. Otwarte na przestrzał lśniły bielą na tle świeżej murawy, zdającej się wręcz wrastać do pokoju. Przeciąg wysysał zasłony do środka przez jedno drzwi, a przez drugie wydymał je na zewnątrz niczym wyblakłe flagi, które wykręcał wewnątrz w górę ku lukrowanemu tortowi sufitu i marszczył nad dywanem barwy wina, kładąc na nim ich cienie jak wiatr na morzu.

Jedynym całkowicie nieruchomym przedmiotem w pokoju okazała się olbrzymia kanapa; niczym w zacumowanym balonie kołysały się na niej dwie młode kobiety, obie w białych

sukienkach, fałdujących się i trzepoczących, jak gdyby przeciąg właśnie wciął tu te dziewczyny z powrotem po szybkim okrążeniu domu. Na pewno przez kilka chwil stałem, przysłuchując się przypominającym odgłosy bicza świstom i trzaskom zasłon oraz jękom wiszącego na ścianie obrazu. Następnie, gdy Tom zatrzaskał tylne drzwi, rozległ się huk; uwieczniony wiatr przygasał w kątach pokoju, a zasłony, dywany i młode kobiety powoli spłynęły niżej balonowym lotem.

Młodszej nie znałem. Leżała wyciągnięta z jednej strony kanapy, całkowicie bez ruchu i z nieznacznie uniesionym podbródkiem, jakby próbowała utrzymać na nim coś, co w każdej chwili mogło z łatwością spaść. Jeśli zauważyła mnie kątem oka, nie dała tego po sobie poznać – i właściwie tak mnie tym zaskoczyła, że omal nie wybąkałem przeprosin, bo wchodząc do pokoju przecież jej przeszkodziłem.

Druga dziewczyna, Daisy, spróbowała wstać; pochyliła się nieznacznie naprzód ze znamionującym obowiązkowość wyrazem twarzy, po czym zaśmiała się absurdalnym, uroczym i cichym śmiechem; ja również się roześmiałem i wszedłem dalej do środka.

– Jestem po... porażona ze szczęścia.

Znowu zaczęła się śmiać, jak gdyby powiedziała coś bardzo błyskotliwego, i przez chwilę przytrzymała moją dłoń w uścisku, patrząc mi w oczy i jakby przysięgając, że nikogo na świecie nie chciała w tej chwili zobaczyć tak bardzo jak mnie. Taka już była, i tyle. Podpowiedziała mi szeptem, że nazwisko dziewczyny próbującej utrzymać coś na podbródku brzmi Baker (dochodziły mnie słuchy, że Daisy szepcze tylko po to, aby ludzie się do niej nachylali; niestosowna uszczypliwość, nie zmniejszająca jednak uroku szeptu mojej kuzynki).

Tak czy owak usta panny Baker poruszyły się, a ona niemal niedostrzegalnie skinęła mi głową, po czym szybko ponownie przechyliła się w tył – to, co usiłowała utrzymać na podbródku, najwyraźniej trochę się zachwiało, więc jakby obleciał ją strach.

Na usta znów cisnęło mi się coś w rodzaju przeprosin – prawie każda manifestacja całkowitej niezależności skłania mnie do pełnych zdumienia hołdów.

Popatrzyłem jeszcze raz na Daisy, która zaczęła zadawać mi pytania tym swoim niskim, fascynującym głosem. Słuch podąża za nim w górę i w dół, jak gdyby każda wypowiedź mojej kuzynki składała się z takiego układu nut, którego już nikt nigdy więcej nie zagra. Daisy miała smutną, prześliczną i niepozabawioną oznak inteligencji twarz, inteligentne oczy oraz inteligentne, namiętne usta, w jej głosie pobrzmiwało natomiast uniesienie, którego zainteresowani nią mężczyźni na ogół nie potrafili zapomnieć: jakaś śpiewna kompulsja, wypowiedziane szeptem słowo „Słuchaj”, przysięga, że dosłownie przed chwilą robiła różne frapujące, rozwiązałe rzeczy, które zrobi znów za raz, lada chwila.

Powiedziałem, że w drodze na Wschodnie Wybrzeże spędziłem dzień w Chicago i że kilkanaście osób przesyła jej stamtąd za moim pośrednictwem serdeczne pozdrowienia.

– Tęsknią za mną?! – zawołała euforycznie.

– Całe miasto jest niepokieszone. Lewe tylne koła wszystkich samochodów pomalowano na znak żałoby na czarno jak wieńce pogrzebowe, a wzdłuż północnego brzegu jeziora przez całą noc bez przerwy słyszać lament.

– Ależ cudnie! Wracajmy tam, Tom. Jutro! – Po chwili dodała od rzeczy: – Musisz zobaczyć małą.

– Chętnie.

– Śpi. Ma trzy latka. Nie widziałeś jej jeszcze?

– Nie.

– No to musisz zobaczyć. Jest...

Krążący nerwowo po pokoju Tom zatrzymał się i położył mi dłoń na ramieniu.

– Gdzie robisz, Nick?

– W obligacjach.

– Dla kogo?